Rocznik II. (XXXIII) Kraków, Lipiec-Sierpień 1926. Nr. 7—8.

NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK“)

PISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE I OŚWIATOWE

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA 1-GO.

NOWA ZORZA kosztuje w przedpłacie na rok: **5** zł. — półrocznie: **2** zł. **50** gr. — Do Ameryki na rok: **1** dolar.

Adres: Redakcya „Nowej Zorzy“ (lub Ks. M. Dziurzyński) w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Ostatni numer!

Tym 7 i 8-ym numerem zamykamy rocznik II-gi »Nowej Zorzy«. W tym więc roku (1926) »Nowa Zorza« dalej wychodzić nie będzie. Stało się to dlatego, że prenumeratą nie dało się pokryć kosztów wydawnictwa, my zaś na dokładanie do pisma funduszów nie mamy, a nikt nam z pomocą nie pospieszył.

Może Bóg da, że w przyszłości zmienią się stosunki, i nastaną lepsze jakieś czasy, to wtedy wydawnictwo »Nowej Zorzy« wznowimy.

Za wydane w tym roku 8 (względnie 6) zeszytów »Nowej Zorzy« liczymy 2 zł. 50 gr. — Kto więc zapłacił tylko półroczną przedpłatę — temu nie jesteśmy nic winni, a kto uiścił przedpłatę już na drugie półrocze, ten otrzymywać będzie za tę nadpłaconą prenumeratę **inne pismo** od października b. r. to jest:

„Krakusa“,

co dwa tygodnie przez pół roku t. j. do końca bieżącego roku i przez pierwszy kwartał roku przyszłego.

Nikt więc nie poniesie straty, bo my nikogo krzywdzić nie chcemy.

Wydawnictwo.

Skutki krwawego buntu.

Od czasu wybuchu rokoszu Piłsudskiego karmią nas hasłem jakiejś „sanacji moralnej“, obiecują nam ciągle poprawę stosunków, umoralnienie administracji państwowej i tym podobne rzeczy, ale jakoś nic z tego nie widać. Położenie nie zmieniło się wcale na lepsze, przeciwnie, staje się coraz gorsze, i nietylko gorsze, ale i coraz groźniejsze i niepewne.

Obyczaje sejmowe nie uległy najmniejszej zmianie. Zaraz po wygłoszeniu pierwszej mowy ministra Klarnera rozpoczęły się awantury i sceny niesłychanie burzliwe. Sprawcami awantur byli, jak zwykle, komuniści otwarci i komuniści zamaskowani, czyli „Wyzwoleńcy“. Bito w pulpity, walono w ławy poselskie kawałami drzewa, sypały się wyzwiska najordynarniejsze. „Stronnictwo chłopskie“ dwom wymienionym partjom dzielnie dopomagało.

Gorzej jeszcze jest poza Sejmem. Posłowie z „Wyzwolenia“, które się ciągle wysługuje p. Piłsudskiemu i jest jego największym zwolennikiem, w ten sposób przeprowadzają w czynie „uzdrawianie moralne“, że na wiecach chłopskich, przez nich zwoływanych, wprost wygłaszają takie „moralne“ zdania: „Po zamachu stanu marszałka Piłsudskiego niema w Polsce żadnej prawnej władzy, ani wojewody, ani starosty, ani policji. Nikogo słuchać nie potrzeba, bo władza jest w rękach ludu. Dotychczas szliśmy drogą ewolucji, obecnie nareszcie przeszliśmy na drogę rewolucji. Lud musi z bronią w ręku wywalczyć swe prawa, a więc zabrać obszarnikom ziemię, puścić z dymem dwory i pałace, dobytek zagrabić, właścicieli wymordować“.

Podobnie przemawiają tacy także posłowie jak: Bryle, Pristupy, i inni. A są to wszyscy „odrodziciele moralności“, na których ma się oprzeć „sanacja moralna“ w Polsce.

To też oznaki burzy mnożą się coraz bardziej. Krew na ulicach Warszawy wylana w połowie maja b. r. wywołała rozpętanie umysłów. Dżuma bolszewicka szerzy się w Polsce, rząd jednak tego nie widzi, czy widzieć nie chce i przez palce patrzy na te demagogiczną agitację wyzwoleńców, brylowców, komunistów i socjalistów.

Wrogów porządku społecznego należałoby tępić bezwzględnie i nie czekać, aż komuniści otwartą zaczną z nami walkę, aby nas następić wytopić w morzu krwi.

Ciemne, roznamiętnione masy agitacją socjalistyczną i wyzwoleńczą czekają na chwilę, w której mogłyby zniszczyć odrazu pracę wieków i kosztem przelanych rzek krwi ludzkiej znaleźć się w tylokrotnie obiecywanym raju na ziemi, jakiego w rzeczywistości nigdzie nie było, niema i nie będzie.

To też patrzenie obojętne — jak to czyni rząd obecny — na tę agitację cuchnącą z daleka komunizmem, jest „kiereńszczyzną“, jest krótkowzrocznością, albo złą wolą, poprostu jest to zbrodnią wobec narodu.

Ale rząd, który wyszedł z krwawego rokoszu, nie ma — jak widać — sił, ni odwagi sprzeciwienia się złemu, bo sam ma w sobie zarodki i posiew złego.

Oto są skutki buntu warszawskiego i następstwa „uzdrowienia moralnego“, dokonywanego przez tych, którzy przedewszystkiem sami „sanacji moralnej“ potrzebują.

Co czeka Polskę ze strony żydów.

Nie od kilkunastu lub kilkudziesięciu lat podżerają żydowskie podjadki fundamenta Polski, robili to oni od pierwszych lat przybycia do nas poprzez wszystkie ubiegłe wieki, i dlatego dali się we znaki przodkom naszym, podobnie, jak i nam.

Żyjący i piszący w XVI wieku, sędzia lubelski i poeta Sebastjan Klonowicz, znający dobrze żydów, uważał ich za największą plagę Polski. W swoim poemacie pod tytułem: „Roksolana“ (Ruś) tak pisał o żydach:

„Wszak robak dębu nie wyniszcza razem,
Lecz go na próchno przegryza pomału;
Jak rdza się pastwi nad twardem żelazem
Mól szkodzi sukniom, a pijawka ciału,
Tak żyd włóczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpije się i wzroście,

Nasze bogactwa pozrze i przetrawi,
Pochłonie wszystkie kraju posiadłoście.
Obaczą króle, skąd szkodliwa rana,
Rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
Gdy krew z jej ciała będzie już wyssana
I wszelkie życie obumarłem zda się.

— — — — — — — — — — — — —

O zażydzeniu zaś Krakowa tak pisał Jan Achacy Kmita w roku 1601:

Otośmy u Kazimierza plac wielki kupili,
Gdzieśmy Nowe Jerycho tych czas założyli,
Tu się żydzi ze wszego świata zjeżdżać mają,
Tu stacyje przynosić, tu go przywitają,
Jużeśmy przeciw niemu owych zwysyłali
Co ich z Pilzna i owych, co z Bochnie wygnali,
Garbary i Krowodrzy, także i Krupniki
I Gramatykę zniosą też i Ogrodniki.
Bo tam namioty będą żydowskie rozbijać
I proporce królewskie daleko rozwijać.
Sam Mesjasz w Jerychu będzie miał gospodę
Tam będzie dalszym dawał mieszczanom nagrodę,
Którzy na nas łaskawi i dobrzy bywali.

— — — — — — — — — — — — —

Smyki damy pościnać ,studenty schwytamy
A rybałty na szkołach wszystkie zobrzezamy.
Jezuitom i inszej księżej spokój damy,
Bo my też od nich pokój i wolności mamy.
Szlachtę królmi poczynim, my szlachtą będziemy,
Mieszczany orać muszą, bo ich przymusiemy.
Teraz już się wypełnią słowa Jezajego:
Będzie pił baran z wilkiem ze źródła jednego.
Taka wielmożność będzie króla żydowskiego!

— — — — — — — — — — — — —

Poeta kładzie w tych wierszach proroctwo głoszone wówczas przez żydów, że oni będą w Krakowie i w Polsce szlachtą, i że mieszczanie orać, czyli pracować dla żydów i im się wysługiwać będą, i że w Polsce król żydowski, czyli żydostwo panować i górować będzie — co się rzeczywiście, jak widzimy — spełnia.

Nasi socjaliści.

Włochy otrząsnęły się przed paru laty ze zmory socjalistycznej i anarchistycznej pod przewodnictwem tęgiego człowieka, jakim jest Mussolini, a następstwem tego otrząśnięcia jest dobrobyt i coraz większe w świecie zaufanie do Włoch i poważanie. Włochy przez „faszyzm" stały się państwem potężnem i szczęśliwem.

Inaczej jest w Polsce. Nasze „najpostępowsze", a raczej wyraźnie socjalistyczne ustawodawstwo doprowadziło nas do tego, że setki tysięcy ludzi jest bez pracy i nędza szerzy się coraz większa mimo bogactw naturalnych w Polsce, a Polska zagranicą jest lekceważona. W Anglji np. uważają Polskę za „złamaną słomkę".

Wszystko to zawdzięczamy jedynie socjalistom, którzy się w początkach razem z Piłsudskim dostali do rządów. Znaczną część winy ponoszą też partje umiarkowane, które nie posiadały dosyć cywilnej odwagi, by się oprzeć zakusom socjalistycznym i wstrzymać ten rozpęd złowrogi dla kraju.

Gdy p. Piłsudski dokonał straszliwego dzieła majowego na żywem ciele swej matki Ojczyzny, nasi socjaliści nietylko poparli go moralnie, ale użyczyli mu także pomocy materjalnej, wysyłając swoje bojówki do walki po stronie rewolucji, oraz wywołując strajk kolejarzy.

Czerwoni towarzysze sądzili, iż p. Piłsudski wykorzysta rewolucję do ostatnich granic, że utworzy dyktaturę socjalistyczną, a oni będą się mogli obławiać w tej czerwonej atmosferze.

Stało się jednak inaczej. Nie znamy powodów, dla których p. Piłsudski zeszedł pozornie z drogi rewolucji na drogę prawa, zdaje się, iż zniewoliło go do cofnięcia się z drogi rewolucji, zdecydowane a skierowane przeciw jego planom stanowisko Wielkopolski i Pomorza, koniec końcem, socjalistów spotkało rozczarowanie.

Myśleli towarzysze, że wnet obejmą wszystkie tłustsze stanowiska w kraju, a dziś patrzeć muszą, jak najlepsze stanowiska zajmują wprawdzie osoby podobnej im barwy,

ale jednak nie należący wprost do obozu socjalistycznego i nie poddający się komendzie partyjnej.

W czasie rewolucji powtarzali socjaliści za Piłsudskim jego obelgi na Sejm rzucane, krytykowali ten Sejm najzłośliwiej, a teraz nagle stali się najgorliwszymi obrońcami Sejmu, i nawet zwrócili się do ministra spraw wewnętrznych p. Młodzianowskiego z żądaniem, by ten uniemożliwił dziennikom zbyt ostre krytykowanie niedołężnego Sejmu.

I tak naraz gdzieś znikła socjalistyczna „demokracja“, która przecież bez swobody krytykowania postępowania posłów, piastujących mandaty „z woli narodu“ istnieć nie może. Wszakże nie kto inny, tylko przedewszystkiem socjaliści głoszą, iż w Polsce i wogóle w demokracji źródłem prawa i wszelkiej władzy nie jest ani Sejm, ani Rząd, ani Prezydent, ale — n a r ó d, a skoro tak jest, to naród musi mieć swobodę krytykowania działalności swych wybrańców.

Należy więc stwierdzić, iż w postępowaniu naszych towarzyszy widać coraz większe sprzeciwności. Przed kilku tygodniami pomagali z całych sił do wywrócenia rządu wytworzonego przez Sejm, walczyli przeciw prawu i Konstytucji, uznawali za źródło prawa wolę jednego człowieka, tj. Piłsudskiego, gotowi byli zgodzić się nawet na jego dyktaturę i jedynowładztwo, a dziś, gdy Piłsudski nie dokonał tego wszystkiego, czego się po nim spodziewali i poszedł pozornie na drogę prawa, nakazując swemu rządowi wnieść do Sejmu projekt zmiany Konstytucji, socjaliści nagle stali się gorliwymi obrońcami Konstytucji i Sejmu i sprzeciwiali się usilnie wprowadzeniu większych zmian w Konstytucji i w sejmowładztwie.

Teraz piszą, że posłów nie należy zbyt ostro krytykować, i że musi się im zostawić nadal nietykalność poselską poza Sejmem, by mogli swobodnie dalej szkodzić państwu i narodowi.

Nic to jednak nie pomaga. Sejm poszedł na rękę rządowi i uchwalił kilka znacznych zmian w Konstytucji, bo naród tego się domagał, a naród ma prawo domagać się od swych wybrańców, by ci działali w interesie państwa, a nie w swoim interesie partyjnym.

O tem jednak nasi socjaliści słyszeć nie chcą i dlatego sprzeciwiali się z całych sił zmianom w Konstytucji, bo obecny Sejm najbardziej dogadza ich celom partyjnym.

Niech ginie Ojczyzna w morzu krwi, jak to jest dziś w Rosji, byleby ich partja była górą! Oto główne hasło naszych socjalistów!

Jakich ludzi wydała „zgangrenowana“ Austrja — a jakich Rosja.

Ileż to razy można było słyszeć po upadku Austrji, że była ona państwem nawskroś zgangrenowanem, że Polacy z byłego zaboru austrjackiego są ludźmi najgorszego gatunku, najgorszymi Polakami itd.

Dziś jeszcze głoszą takie zdania różne zaciekłe endeki, a nawet i chadeki, mający pretensję do chrześcijaństwa, bo się nazywają „chrześcijańskimi demokratami“.

Są jednak między chadekami ludzie, którzy inne zaczynają mieć zdanie. W czasie rokoszu warszawskiego pisał chadecki „Głos Narodu“ (w num. 109), może wbrew zapatrywaniom wielu chadeków, ale pisał te słowa:

„Teraz się wypróbowuje hart duszy żołnierskiej, teraz widzimy, gdzie jest generał, a gdzie ambitny kondotjer (bandyta), gdzie prawy oficer, a gdzie służalec“.

„Z radością stwierdzamy, że ci tak zwalczani przez Piłsudskiego Austrjacy okazali się wzorem prawości i wierności obowiązkowi. Generałowie: Kuliński, Sikorski, Szeptycki, Surzyński, St. Haller — i inni, oni są reprezentantami armji polskiej i przed nimi pochylamy głowy. W tej armji, którą oni dowodzą jest Polska. Nie dziwimy się teraz, że Piłsudski ich nienawidził i starał się z armji usunąć“.

Tak ocenił „Głos Narodu“ byłych austrjackich oficerów, wychowanych w austrjackiej szkole. Czyż więc zgangrenowane państwo mogło wychować ludzi, przed którymi

głowy trzeba skłonić? — Jeżeli zaś ich wydało, to znak, że z pewnością mniej tam było gangreny moralnej, niż np. w Rosji, która nam dała spiskowców przeróżnych, bandytów, łapowników i różnego rodzaju szubrawców.

Egzekucje bolszewickie.

Wiadomości nadchodzące z Rosji są znowu straszne; zaczął się tam na nowo okres prześladowań i egzekucyj. Właściwie, to on się nigdy nie kończył, czasami tylko był mniej okropny, ale tak zwana „Czeka", pracowała bez przerwy, tylko mniej głośno, i bez przerwy wydawała wyroki śmierci na wrogów bolszewizmu.

Obecnie stosunki w Rosji tak się przedstawiają:

Listy przychodzące z kraju i z zagranicy do rąk adresatów dochodzą, ale podlegają nie tylko cenzurze, ale i kontroli tak zwanego „Gabinetu czarnego", który z wiadomości w listach podanych korzysta i przy pomocy „Czeki" prześladuje adresatów.

Żywności jest dość, ale o zarobek trudno, a jeśli jest, to bardzo ciężki i wymagający wielkiego wysiłku.

Inteligentni fachowcy, chcąc się utrzymać, pracują po 18 godzin na dobę. Mimo to cierpią nędzę. Bolszewicy inteligencji nie znoszą i dalej ludzi inteligentnych tępią.

Ni stąd, ni zowąd, najczęściej bez żadnej przyczyny, w nocy aresztuje się ludzi z inteligencji i wiezie się ich samochodami do „Czeki", gdzie czekają w celach więziennych, a najczęściej w piwnicach, o głodzie i chłodzie, przez nikogo nie przesłuchiwani, na sąd rewolucyjny.

Tego sądu jednak nigdy niema. Bywają wypadki, że władze sowieckie trzymają człowieka przez całą dobę w ubikacji napełnionej wodą ,tak, żeby ani siąść, ani się położyć nie mógł, a potem tak udręczonego, zupełnie wyczerpanego nerwowo i fizycznie, mordują bez sądu, so się nazywa „egzekucją".

Ofiary przeznaczone na „egzekucję“ wprowadzają do piwnicy, gdzie muszą się rozebrać do naga. W bolszewickiej Rosji tak odzież jak i bielizna, jest droga, a co trupowi po koszuli? Ustawia się ludzi twarzami do ścian, stojący w pobliżu na ulicy samochód puszcza w ruch motor, aby zagłuszyć strzały w piwnicy, a wtedy strzały padają — padają też ludzie. I już.

Wiadomo, że w ten sposób wymordowano rodzinę carską. Była to potworna rzeź. Dzieci zabijano w oczach rodziców, żonę w oczach męża.

Niekiedy egzekucje odbywają się uroczyściej: Skazańców usadzają na wielką platformę samochodową i wiozą ich do pięknego parku Aleksandra, znajdującego się pod Moskwą. W parku tym są duże klomby sosnowe. W jednym z takich klombów, rozkazują skazańcom wykopać sobie wspólny grób. Kiedy to się stanie, rozpoczyna się egzekucja. Kaci strzelają do ofiar, mierząc w tył czaszki, a ludzie wpadają, nieraz na pół jeszcze żywi do grobu, który prędko ziemią zasypują tak, aby śladu nawet nie było.

Czy słyszał świat, odkąd istnieje, o więcej krwawych rządach, o większem barbarzyństwie? Coś podobnego trudno znaleźć w historji ludzkości; Rosja pod rządami żydostwa pozostanie na wieki dowodem, jakiem krwiożerczem plemieniem są potomkowie Abrahama.

Przypomnienie dla rodziców.

Coolidge, prezydent Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, przemawiając w tym roku na zebraniu „Stowarzyszenia młodzieży chrześcijańskiej“, w którem uczestniczyli delegaci tegoż Stowarzyszenia ze wszystkich Stanów Unji północno-amerykańskiej, ubolewał nad zanikiem dobrego wychowania dzieci i młodzieży przez rodziców.

Młodzież dzisiejsza — mówił p. Coolidge — powinna być daleko pilniej strzeżona przez rodziców, niż się to dzieje obecnie.

Przestroga pana Coolidge odnosi się do wszystkich rodziców, nie tylko w Ameryce, ale i w Polsce, bo i u nas dużo, bardzo dużo ojców i matek nie dba o należyte wychowanie swoich dzieci, i wcale nie stara się o to, by je wychować na dobrych obywateli i wiernych synów Kościoła.

Że w Polsce jest źle, że mamy tylu złodziei, oszustów i innych zbrodniarzy i niegodziwych ludzi, wrogów Kościoła, Ojczyzny i społeczeństwa, to winni temu nie tylko agitatorzy i siewcy przewrotowych nauk, ale przedewszystkiem winni tu rodzice, bo nie wychowują swoich dzieci w duchu katolickim i narodowym, bo nie sieją w ich serca ziarn dobrych, i nie wypleniają złego kąkolu z ich dusz, chociaż ten kąkol widzą!

Wobec Kościoła i Ojczyzny rodzice zaniedbujący swoje obowiązki względem dobrego wychowania dzieci *zbrodniarzami* są, a nie rodzicami.

Z Brazylji o Brazylji.

Pewien Polak, który niedawno wybrał się do Brazylji, aby tam szukać chleba i zarobku, nadesłał tymi czasy taki list swoim znajomym w Polsce, którzy go prosili o dokładne wiadomości, jak tam jest w tej zachwalanej Brazylji.

Ów emigrant pisze:

Podróż statkiem. Nareszcie dostałem się na statek „Aurigny“ i znajduję się w podróży z Anvers do Le Havre. Musiałem z Hamburga do Anvers jechać koleją, gdyż statek był w doku. Bogu dziękuję, że mam swoją kabinę. Na statku tym jedzie trzecią klasą 100 Rumuńczyków do Brazylji. Za podróż ich płaci Brazylja, ale za to muszą oni pół roku bezpłatnie (tylko za utrzymanie) pracować na odpłacenie podróży. Towarzystwo arcyniemiłe. Niejedni podróżują z rodziną, a nieomal wszyscy mają wygląd bardzo niekulturalny. Zachowanie się ich nieznośne.

Po obiedzie jadalnia wygląda jak chlew. Moja kabina jest parterowa, bez okien, więc cały dzień oświetlana światłem elektrycznem. Statek się silnie kołysze. Na sam widok owych Rumuńczyków zabraknie apetytu, tem więcej przy widoku jadalni zabrudzonej ohydnie.

Le Havre. Nareszcie mam towarzysza inteligentnego, Polaka z Rosji. Jest optymistą, jak większość Słowian. Naturalnie on młody, a to więcej warte niż pieniądze. Na naszym statku są: palacze-murzyni, kucharze-Chińczycy, a niejedni stewardowie mulaci. A ponadto mały żydziak, który służy jako tłumacz. Włada językami: polskim, rosyjskim, niemieckim i hiszpańskim kiepsko, mówi błędnie bardzo w każdym języku, ale ot żydowska impertynencja!

W Brazylji. Stało się. Jestem w Sao Paulo, a mieszkam tu w sposób najtańszy, tj. z dwoma towarzyszami w jednym pokoju, którego umeblowanie składa się z trzech łóżek, stoła i dwóch krzeseł. Płacimy każdy po 45 milreisów (tj. mniej więcej 68 zł.) miesięcznie. Świeżego powietrza nam nie brak, gdyż okno stale otwarte. Nie jest tu tak gorąco, jak w Rio de Janeiro albo Santos — w południe 26 stopni Reaumura, lecz noce są chłodne. Trzeba się przeto dobrze w nocy okrywać. Pozatem powietrze bardzo zdrowe, zwłaszcza dla chorych na płuca. Katar i kaszel pod działaniem słońca szybko mijają.

Jadam w portugalskim pensjonacie. Obiad kosztuje 1 milreis 500 reisów do 2 milreisów (zł. 2.30—3.00), a składa się z następujących potraw: 1) kwaśna zupa podobna do barszczu, 2) fasola i ryż, 3) pieczeń, później chleb i kawa. Potrawy smaczne — fasoli i ryżu nie brak w żadnym obiedzie. Z rana i po południu jadam do kawy chleb, który kosztuje kilo 900 reisów (zł. 1.34) i banany bardzo tanie, gdyż za 8 sztuk płaci się 200 milreisów (gr. 30).

Kilka innych cen dla porównania: kilo masła 10—12 milreisów (zł. 15—18), litr mleka 1 milreis (zł. 1.50), kilo kiełbasy, 4—6 milreisów (zł. 6—9).

Wszystkie inne artykuły pierwszej potrzeby są bardzo drogie. Za mieszkanie o 4 pokojach na przedniejszej ulicy płaci się miesięcznie 600—800 milr. (zł. 900—1.200) i to trzeba za pół roku z góry zapłacić. Możliwości egzystencji są bardzo liche — stosunkowo najlepsze dla rzemieślników. Tak

np. zarabia stolarz 12—15 milreisów dziennie (zł. 18—22.50), elektrotechnik również dobrze zarabia i łatwo pracę znajdzie. Lecz wszelkie inne zawody są z powodu nadmiaru emigrantów przepełnione.

Pracowników biurowych mało się poszukuje i to tylko z znajomościami doskonałemi języka portugalskiego, gdyż handel przeważnie w ręku oprócz Brazyljan: Niemców, Syryjczyków, Włochów etc., a ci mają dosyć swoich ludzi. Dentystów sporo na każdej większej ulicy. Oprócz tego każdy dentysta, zamierzający się osiedlić, musi zdać fachowy egzamin w języku portugalskim.

Język portugalski wogóle potrzebny do każdego zawodu, chyba z wyjątkiem robotników rolnych, których byt atoli jest uciążliwy. Za 3—4 milreisów (zł. 4.50—6) dziennie i wyżywienie musi cały dzień w nieznośnym upale pracować. Przytem czekają go różne „miłe niespodzianki" jak np. pchły ziemne, które kłują w nogi i nie oderwane natychmiast, wnikają w ciało i tworzą bolesne rany. Pozatem trzeba się mieć na baczności przed żmijami i skorpjonami. W Brazylji z 2.000 ukąszonych przez żmije 500 umiera. Oprócz tego są tu ogromne jadowite pająki.

Nieomal wszyscy Niemcy, emigrujący do Brazylji, zapuszczają się w głąb kraju, próbując szczęścia na fermie. Lecz często jeden opuszcza wnet swą fermę, zdjęty strachem przed febrą, inny, gdyż mu mrówki zniszczą całe żniwa, trzeci zaś nie ma pieniędzy, by wytrwać tak długo, aż mu ziemia wyda płód oczekiwany. Wogóle przeważnie na wszystkich fermach brak pieniędzy (gdyż fermer ich również nie ma), i napracowawszy się spory czas za sam deputat, bez grosza opuszcza swą pracę. Zdarzają się i bunty robotników, a fermer podczas nich nieraz życiem przypłaci swą przedsiębiorczość.

Więc kto tu wogóle ma możność dobrej egzystencji? Po pierwsze człowiek rozporządzający wielkiemi zapasami gotówki, który może założyć przedsiębiorstwo na wielką skalę. Pozatem człowiek twardy, nadzwyczaj energiczny, a przytem nieobarczony rodziną, który rezygnując ze wszelkich wygód życia kulturalnych krajów w najbardziej posuniętej oszczędności żyje i dzielnie pracuje. Kto z Was więc ma możność jakiej takiej egzystencji w Europie, niech tam

zostanie! Kto jednakże stoi w obliczu śmierci głodowej, może tu swego szczęścia spróbować! Polegać może tylko na sobie samym. Litości i współczucia tu nie znajdzie jak dowodzi choćby fakt następujący, na który patrzałem: W pensjonacie portugalskim zachorował człowiek 40-letni. Nikt się o niego nie troszczył. Umarł w końcu i przyszła policja z prostą skrzynią i zabrała nieboszczyka. Żaden znak żałoby, żaden wyraz współczucia.

A żyjącego na każdym kroku czeka wyzysk. Zaraz na wstępie tragarz i dorożkarz poda ci ceny solone, poznając w tobie „nowicjusza". Jak się z nimi rozprawisz, nie znając gruntownie tego nadzwyczaj trudnego języka?

Powracając do możliwości zarabiania, muszę podkreślić, że konkurowanie z południowcami, których w Brazylji jest mniej więcej 80 procent, jest dla nas niemożliwem, gdyż znają oni lepiej klimat i żyją tanio (żywiąc się przeważnie owocami i chlebem).

Więc jeszcze raz zostań w kraju, jeżeli masz tam jeszcze możliwość egzystencji.

K. K.

To i owo.

Zegar stanął po czterystu latach.

W miejscowości E. Hendren, w Anglji, codziennie od czterystu z górą lat zegar na tamtejszej wieży kościelnej wskazywał dokładnie czas, lecz w końcu, potrzebując reperacji, stanął. Jest tylko kilka zegarów w Anglji, które mogą się poszczycić tak długą i bezustanną służbą.

Ciekawy protest.

Dziewczęta w mieście Manistee, w Stanie Michigan północnej Ameryki, chciały sobie kupić naszyjniki, lecz ceny były odstraszające. Dwie z nich wpadły na dobry pomysł i w składzie żelaznym zaopatrzyły się w ładne, srebrem ozdobne obroże dla piesków po 2 dolary za sztukę.

Panienki w obrożach zrobiły na paradzie senzację i znalazły liczne naśladowczynie tej ostatniej „psiej mody“.

Najbrudniejsza wieś na świecie.

Najbrudniejszą wsią na świecie nazywa pewien podróżny miejscowość Phari-Jong w Tybecie, w głębokiej Azji.

Dokoła twierdzy, znajdującej się w tem miejscu, rozrzuconych jest około 200 lepianek, w których żyją ludzie.

Wymieniona wieś została zbudowana przed jakiemiś 500 laty, a ponieważ mieszkańcy jej mają od setek lat zwyczaj wyrzucania wszelkich śmieci i nieczystości przed swemi domami, przeto nagromadziło się ich tam tak wiele, że wyrastją one ponad dachy owych lepianek.

Otóż przez te góry śmiecia są przekopane tylko małe przejścia, przez które mieszkańcy tych jaskiń wydostają się na zewnątrz. Droga wiejska — o ile to drogą wogóle nazwać można — prowadzi przez dachy, których oczywiście dzisiaj już ujrzeć nie można.

Mieszkańcy tej najbrudniejszej wsi nigdy się nie myją. Na ich usprawiedliwienie można tylko to powiedzieć, że brud ten jest potrzebny im na to, aby im było ciepło, gdyż Phari Jong leży 14.500 stóp z górą ponad poziomem morza, a zatem jest najwyżej położoną miejscowością na świecie, zamieszkaną przez ludzi.

Przeciw wielkim mrozom, panującym tam w zimie, chronią się mieszkańcy swoją powłoką brudu i grubem odzieniem, nakładanem jedno na drugie, albowiem materjału opałowego jest tam nadzwyczaj mało, tak mało, że ludzie przeważnie przyjmują tam surowe pożywienie.

Suszone mięso i jarzyny z niżej położonej miejscowości Chumbi sprowadzane, stanowią główne ich pożywienie.

Z powodu krótkiego lata i wysokiego położenia tej miejscowości, nic tam absolutnie nie rośnie.

Jaśkowe ambicje.

Dzwonek brzęczał coraz niecierpliwiej.

Ale Jasiek ani drgnął; wyglądał oknem na szarą drogę, obsadzoną wierzbami, a włokącą się wskroś ogromnych pól, poznaczonych kępami drzew.

— Jasiek, jaśnie pan dzwoni! — wrzasnęła przelatująca pokojówka.

Nie odwrócił się nawet, zapatrzony w dalekoście, zawarte obręczą lasów.

— Jasiek, głuchu jeden, dzwonek! — znowu ktoś krzyknął przez uchylone drzwi.

— A niech se dzwoni — odburknął gniewnie i porwał się naraz od okna, wyciągnął z kąta zielony kuferek i zaczął gorączkowo pakować swoje rzeczy. Potem cisnął o ziemię liberyjną kurtę i już zabierał się do dalszego ciągu, gdy wpadła sama gospodyni, rozczapierzona złością, niby indyczka, i wsiadła na niego:

— Jaśnie pan dzwoni, a ty, wałkoniu, ani się ruszysz! Leć prędko...

— Ja go ta więcej ubierał nie będę i woził go nie będę, i służył mu nie będę! — cisnął.

— A to co znowu! Widzicie go, będzie mi tu wyjeżdżał z pyskiem! Ruszaj natychmiast, żebyś czego nie oberwał!

Rozkazywała z tak groźnym majestatem, że Jasiek struchlał, kurtę nałożył, zakręcił się bezradnie po stancji, pańskie buty, świeżo wypucowane, pochwycił i w dyrdy pobiegł na drugi koniec dworu.

Dziedzic leżał pod zieloną kotarą i, uniósłszy głowę, rzekł łagodnie:

— Zaspałeś dzisiaj! Ubierz mnie cieplej, pojedziemy do parku.

Chłopak sprężył się nagle i już miał wybuchnąć buntem, ale spotkawszy łaskawe wejrzenie, pocałował pana w rękę i, jak co dnia od lat wielu, zabrał się do roboty. Umył go, ubrał i zaniósł na fotel przed stół, gdzie już pokojówka postawiła kawę. Dziedzic bowiem miał sparaliżowane nogi, a Jasiek był mu niezbędnem uzupełnieniem, zwłaszcza, że wszystko robił niesłychanie sprawnie i delikatnie, w lot odgadując każde jego życzenię.

— Jak tam na świecie, pogoda?

— A bogać ta, plucha! — mruknął hardo, przeżuwając buntownicze zamysły.

Dziedzicowi coś jak rumieniec gniewu okrasił zwiędłe jagody, ale jeno zagwizdał na psa, który przyleciał w szalonych podskokach i rzucił mu się na piersi.

— Rex, dosyć karesów. — Podaj mi smyczę i jedźmy.

Przeniósł go na ręczny wózek, obtulił futrzaną derą i powiózł przez liczne pokoje na ganek, jednak niezręcznie, iż co chwila zawadzał o sprzęty i potykał się na progach, wszystek bowiem dygotał i oczy miał zaćmione łzami.

— Przynieś od gospodyni bułek i ziarna — przypomniał sobie dziedzic przed dworem.

Sprawił się w mig i wjechał do olbrzymiego parku, co, niby morze spienione najcudnieszemi barwami, rozlewał się dokoła. Objęła ich cisza i rzeźwy chłód, przejęty zapachem gnijących liści. W szarawem i dziwnie posępnem powietrzu drzewa grały wszystkiemi barwami jesieni.

Liście spływały bez szelestu, jak martwe motyle. Ostatnie kwiaty gasły na kwaterach, a wody stawów przezierały z pod mgławych przesłon zamierającemi oczyma. Jesienny, żałosny smutek powiewał nad światem, żałośnie krakały wrony i żałością biło od ziemi odartej, stratowanej i pól oniemiałych.

— Przykry dzień... — szepnął dziedzic.

— Juści, rano był zamróz, to, musi być, skończy się deszczem.

— Głupiś! Skręć do karpi — nakazywał.

Stawy polśniewały na stratowanych łączkach niby zapłakane oczy, gdzieniegdzie przeglądały się w nich zru-

działe dęby lub brzozy moczyły złociste warkocze. Dziedzic kazał zjechać nad sam brzeg i jął się zabawiać rzucaniem bułek do wody: gładka toń zadrgała nagle, w głębinach zamigotały pręgi grzbietów, całe gromady sunęły spiesznie i tłumnie, powstała niema i zajadła walka, co chwila wynurzał się okrągły pyszczek i ginął z łupem.

— Te wielkie wszystko porywają... — skarżył się bezsilnie dziedzic.

— Każdemu swój brzuch najmilszy. Któren mocniejszy — ten lepszy. Kucharz dałby im radę, bo w łącznych stawach sam drobiazg...

— Niech mi się nie waży łowić tutaj, zapowiedziałem raz na zawsze. — Srożył się starzec i, rzuciwszy karpiom resztę bułek, z lubością patrzył, jak ciągnęły za nimi, póki droga szła nad wodą.

Od wsi spłynęły dalekie jeszcze odgłosy śpiewów, muzyki i turkotów.

— Bednarkowe wesele z Ulisią Wójtówną, jadą do kościoła.

— Przyjrzyjmy się weselnikom. Rex do nogi.

Ale pies trzymał się ostrożnie na stronie.

Droga od wsi szła pod parkiem, więc, po krótkiem wyczekiwaniu, niby burza radosna zaczęły walić bryki pełne wystrojonych bab, śpiewów i muzyki.

— Dużo ludzi! I niezgorzej sobie już podpili. — Zauważył zgryźliwie dziedzic.

— Z Prus sporo ściągnęło, a że grosz mają, okazja się trafiła, to sobie naród używa. Bo to im nie wolno, czy co? — Głos mu wezbrał hardością i zuchwale spojrzał w dziedzicowe oczy, ale jeszcze się nie odważył wypowiedzieć, co mu kamieniem uciskało serce, bo dziedzic kazał się, dziwnie zesłabłym głosem, wieźć do dwora. Więc dopiero, kiedy go usadził w fotelu, jak zwykle i podał pocztę, przywiezioną przez mleczarza, przyszło na niego męstwo. Przeżegnał się, pocałował go w rękaw i jednym tchem, pospiesznie, wyrecytował:

— Dopraszam się łaski jaśnie pana, a to dziękuję za służbę. — Poczuł niezmierną ulgę.

Dziedzic zdumiał się i wystraszył zarazem tą nieprzyjemną nowiną. Przecież niepodobna będzie znaleść tak od-

danego służącego! Zaczął mu więc przemawiać do serca i rozsądku, obiecując złote góry, byle jeno pozostał, ale chłopak rzekł:

— Niczego mi nie potrza, jeno woli! — wyrwało mu się z głębi serca. — Drugie we świat chodzą, do Ameryki aże jeżdżają! Drugie tyle nowego zobaczą, że całe zimy mają co opowiadać. Jeszcze wczoraj mówili, jakie to tam we świecie kraje, jakie miasta, jakie urządzenia, że aż mi dech zapierało od samego słuchania! Pora mi już we świat, w szeroki! A bom to gorszy od drugich, żebym, jak ten ślepy, ino cudzemi oczami patrzał!

Rozpłomieniony był, cały w dygocie straszliwej tęsknicy, co go ponosiła do tych krain wymarzonych cudowności, gdzieś, za czemś, w nieznane...

— Głupiś jak but! — wyrzekł zgniewany dziedzic i kazał mu iść precz, ale nim wyszedł przywołał go z powrotem i powiedział z wyrzutem:

— Wpędzasz mnie do grobu...

Jasiek stanął bezradnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

A dziedzic mówił: jak to był już sobie dawniej uplanował, że Jasiek po jego śmierci, w nagrodę swojej poczciwości i długiej służby osiądzie sobie wypoczywać na roli.

— A mam to chociaż tyle ziemi, żeby pies miał na czem przysiąść?! — wybuchnął.

— Zapiszę ci całe dziesięć morgów, dostaniesz je po mojej śmierci.

Niewiadomo komu z brzega! — szepnął zniechęconym głosem.

— A zamrzesz pierwej, grunt weźmie matka i jeszcze sprawię ci pochowek, jak się patrzy, i na mszę za twoją duszę rok w rok dawał będę.

— Naprawdę sprawiłby mi jaśnie pan pochowek? — Nie dowierzał własnym uszom.

— Naprawdę, jakbym chował rodzonego syna! — Obiecywał uroczyście.

— Olaboga — nadludzkie szczęście zaśpiewało mu w duszy. — To jak chowali dziedzica z Góry?

— A boś to nie poczciwy! A to sobie nie zasłużysz na taki pogrzeb?

— I eksporta będzie ciała? I katafalk na środku ko-

ścioła? I braccy ze świecami? I dzwony będą biły? I księża pójdą na cmentarz? — leciały nieprzytomne pytania.

— Wszystko będzie jak chcesz! Chcesz, to ci dam na piśmie, pojedziemy do rejenta.

Jasiek milczał, ważył się w sobie i rozważał, aż, powziąwszy postanowienie, pocałował go w rękę i rzekł radosnym głosem uszczęśliwienia:

— Za taki pochowek zostanę. Co mi tam świat. Zostanę!

— —

Nigdy schorowany starzec nie śmiał się serdeczniej, niźli tego wieczora. (Z pism St. Reymonta.)

Pieśń słoneczna.

Tuż koło Assyża, na wzniesieniu samotnem, pokazują pustelnię, w której święty Franciszek rozmyślając o rzeczach niebieskich, wysnuł z tych rozmyślań przepiękny hymn, w którym wielki ten Święty uwielbia Boga, Jego mądrość, dobroć i potęgę, objawiającą się w całej przyrodzie.

Oto strofy tej przecudnej pieśni:

Najwyższy, dobry, wszechmogący Panie,
Niechaj się święci Twoje królowanie!
Wielkość i chwała są Twoim udziałem,
Człowiek Ci służy i duszą i ciałem.

Bądź pochwalony Ty, co władasz światem,
Żeś nas obdarzył Słońcem, naszym bratem,
Któremu patrząc co dnia w twarz ognistą,
Wielbimy światłość Twoją wiekuistą.

Dusza niech nasza śpiewa Ci, jak ptaszę
I dzięki czyni, żeś nam siostry nasze
Gwiazdy zapalił, co błękitną nocą
Wkoło srebrnego księżyca migocą.

Święć się Twe imię za naszego brata,
Który się wiatrem zwie i ogrom świata

Mierzy, jak goniec, skrzydlatemi kroki,
Niosąc w ramionach chmury i obłoki.

Święć się Twa wola, żeś nam siostrę wodę
Dał na pokorną naszych ust ochłodę
I brata ogień, co blaskiem nas wieńczy
Piękny, jak radość — jak miłość, młodzieńczy.

Niechaj Twa wszechmoc będzie pochwalona,
Iżeś nas wywiódł z matki ziemi łona
I tchnął w jej piersi życiodajne zdroje...
Za wszystko, Panie, święć się imię Twoje!

Bunt,
czyli skutki demagogicznej agitacji.

W grudniu roku zeszłego, prawie w kilka dni po śmierci Stefana Żeromskiego, zmarł w Warszawie drugi sławny pisarz polski: Władysław Reymont.

Sława Reymonta, który za swe powieści otrzymał szwedzką nagrodę Nobla w kwocie kilkuset tysięcy franków, wypłynęła z jego dzieła, z głośnej powieści: „Chłopi“. W czterech tomach tej powieści przedstawił ś. p. Reymont życie polskiego chłopa, jego pracę, troski, zabiegi i radości ale w taki zajmujący i barwny sposób, że dotąd nie było lepszego opisu nad jego „Chłopów“.

Nie tylko jednak dolą chłopską zajmował się ś. p. Reymont, w innych bowiem powieściach przedstawił nam życie ludzi z różnych innych zawodów, a w baśni: „Bunt“ wykazał, względnie udowodnił na przykładzie zmyślonym wprawdzie, ale głęboko przemyślanym, do jakich skutków prowadzi agitacja demagogów i podszczuwaczy wszelkiego rodzaju.

Treść „Buntu“ jest mniej więcej taka!

Zwierzęta domowe, podburzone przez psa Reksa, zbuntowały się pewnego dnia przeciw ludziom. Dość już miały niewoli, dość krzywd, dość znęcania się człowieka nad nimi i ślepego posłuszeństwa. Zamarzyły o wolności, pozazdrościły wolnym ptakom i mieszkańcom lasów i puszcz, to jest

tym, nad którymi nikt nie panował. Uświadomiły sobie swoje pohańbienie i przykro im było słuchać, gdy puchacz do cierpiącego w niewoli psa mówił: „Żyjecie, mnożycie się i umieracie tylko na to na pożytek człowieka. Twoja skóra nie należy do ciebie, ani twoje gnaty, ani twoja sierść! Hańba tym, którzy umiłowali niewolę. Nie umieją się nawet buntować! Umiecie się tylko żalić, pokornie brać baty i lizać stopy swoim ciemiężcom“.

„Ty nie wiesz — mówił dalej puchacz do psa — co to za szczęście, kiedy rozwinę skrzydła, rzucę się w powietrze i dam się im nieść, gdzie pragnę, ja, pan swojej woli, swojej mocy i siebie, i wolny“.

Posiew takiej wolności rzucony w zwierzęta i ptactwo przez psa Reksa, bo on to głosił takie pojęcia w świecie zwierzęcym, wydał swój plon. Wezbrała w zwierzętach nienawiść do ciemięzcy, do człowieka, i zwierzęta poczęły organizować bunt przeciw niemu.

Ale nie wszystkie; niektóre stawiły początkowo opór. Osły, świnie, barany bały się wolności, nie słuchały podjudzań Reksa i jego rozkazów, wkońcu jednak dały się porwać ogólnemu prądowi rewolucji.

Rozpoczęła się rzeź ludzi. Ryje, kopyta, rogi, kły i pazury przystąpiły do straszliwego dzieła zniszczenia. Szedł przez ludzkie siedziby przeokropny pochód zbuntowanych zwierząt, zaciekłych w walce, coraz bardziej krwiożerczych i nieprzytomnych.

Olbrzymie stada kruków, wron, jastrzębi zdobyły nowy pokarm... mięso pomordowanych przez zwierzęta ludzi. Psy stanowiły przednią straż tego pochodu, wilki zaś ciągnęły na ostatku, poganiając opieszałych wyciem i kłami.

Falanga zbuntowanych zwierząt odniosła wreszcie zwycięstwo. Człowiek przerażony nie mógł sobie dać z tą falangą rady. Wściekłość zbuntowanych zwierząt była tak straszna, że nie zważały one na obronne doły ludzkości, lecz zapełniały je własnymi trupami, ognie zalewały własną krwią, doliny swojemi kośćmi i ciągle szły naprzód i naprzód.

Lecz radość zwycięzców trwała nie długo. Wszystko już pożarto, co było w oborach, w stodołach i w spiżarniach. Wszystkie pola zostały stratowane. Zwierzętom za-

czął doskwierać głód. I zaraz w pierwszych dniach głodu zaczęły się odzywać głosy zwątpienia, głosy „zdrajców". Reks podtrzymywał, jak mógł, ducha w wątpiących i prowadził wszystkich zbuntowanych gdzieś daleko, na Wschód, gdzie będą się mogli najeść i ogrzać.

Szli dalej, ale krainy szczęścia, jak nie widać, tak nie widać.

Zdrada zaczęła się szerzyć coraz więcej. Powstał bunt przeciw Reksowi, który obietnicami swemi zawiódł, oszukał wszystkich, bo ani urojonego szczęścia, ani wolności nie znaleźli.

„Chcemy jeść!" „chcemy jeść!", szczekano, ryczano, kwiczano. Wreszcie padło słowo: „śmierć tyranom! śmierć oszustom!" i Reksa zamordowano. W dzikiej zajadłości literalnie rozniеśli go na kopytach.

I cóż dalej? — Po wielu, wielu dniach wędrówek, wśród głodu i mrozów, czołowe gromady nieszczęśliwych, wygłodzonych i oszukanych przez psa Reksa zwierząt zaczęły nagle przystawać, drżeć i walić się na ziemię z radosnym okrzykiem:

Człowiek! Pan nasz! Człowiek!

Oto na skraju nieprzebytych zarośli, pod rozłożystą palmą siedziała małpia rodzina. Olbrzymi goryl zaskoczony znienacka porwał się straszliwie z ziemi. Na jego widok wszystkie stada wędrujących, zbiedzonych zwierząt padły w pokorze i niedołężnym rykiem wybuchnęły!

„Panuj nam! Rządź nami! My twoi wierni! Nie opuszczaj nas!"

Tak się kończy „bunt" zwierząt przeciwko człowiekowi! Tak się skończy kiedyś cały dzisiejszy ruch obałamuconych rzesz ludzkich przez niegodziwych agitatorów przeciw odwiecznym prawom porządku społecznego! Przyjdzie czas, kiedy ludzie poznają się na oszustach, którzy ich podżegają i zrobią z nimi porządek, jak zwierzęta zrobiły z Reksem.

Ś. p. Reymont dał poznać w tej fantastycznej baśni, że podżegaczy społecznych uważa za zbrodniarzy, bo nie do raju szczęśliwości oni ludzi prowadzą, ale do najgorszej niedoli.

I na tym punkcie różni się ś. p. Reymont, jak niebo od

ziemi, od Żeromskiego, bo gdy ten zachwalał w swych powieściach bolszewizm, to Reymont zwalczał przewrotowców — więc cześć mu za to!

Rany Chrystusowe na ciele dziewczyny.

Pisma włoskie podają senzacyjne wiadomości o Helenie Ajello, dziewczynie z ludu, zamieszkałej w miejscowości Montalto, niedaleko miasteczka Cosenzy, która już od czterech lat w każdy Wielki Piątek przeżywa Mękę Chrystusa i poci się krwią.

Dziewczyna ta, odznaczająca się wielką religijnością, wpada co rok we wspomniany dzień w pewnego rodzaju „trans“ (sen), a ciało jej pokrywa się plamami i ranami, broczącemi krwią, z głowy zaś wypadają włosy.

W tym roku, jak i w poprzednich latach przybyło mnóstwo pielgrzymów z różnych miejscowości i w wielkiem skupieniu asystowali „cudowi“.

Na ulicach tego spokojnego zazwyczaj miasteczka, panował taki ruch i ożywienie, że specjalna straż karabinierów musiała pilnować spokoju i porządku. Straż ta nie dopuszczała tłumów do Heleny Ajello — gdzie znajdowała się tylko najbliższa rodzina chorej, kilku lekarzy, oraz dziennikarze, wysłani przez dzienniki włoskie.

Oto szczegóły przebiegu „cudu“.

Nagle robi się cicho, a po chwili słychać jakiś pełen religijnej ekstazy głos:

— La santa suda sangue! — (Święta poci się krwią).

A nieco dalej, w domu krawca Ajello, dzieje się rzecz niezwykła.

Na białem łóżku leży bardzo blada dziewczyna. Z oczu jej spływają dwie wielkie, krwawe łzy i ściekają po twarzy, na której maluje się wielkie cierpienie.

Dziewczyna woła:

— Jezu, jakaż bolesna korona cierniowa! — a ciałem jej wstrząsają dreszcze.

Po chwili mówi dalej:

— Ile krwi, jakaż to męka! A na pytanie dra de Marce odpowiada, że czuje gorycz w ustach, że doznaje wrażenia, jak gdyby miała cierniową koronę na czole i że dłonie, jakoteż stopy, ma przebite gwoździmi.

Regularnie co kwadrans z oczu Heleny Ajello płyną krwawe łzy, a następnie twarz jej przybiera taki wyraz, jakby miała piękną wizję, która zdaje się łagodzić jej fizyczne cierpienia.

Z czoła dziewczyny spływają krople krwi, sączące się z jakichś niewidzialnych ranek, krew sączy się też ze stóp i z dłoni chorej.

Ten „cud" powtarza się już czwarty raz.

Dodajmy jeszcze, że w tym roku na ciele Heleny Ajello, w okolicy serca pojawiła się jakaś krwawa plama, z której obficie sączyła się krew.

Oczywiście, ten „cud" budzi wielkie zainteresowanie w kołach lekarskich Włoch.

Na miejsce tego niezwykłego zjawiska udało się kilku profesorów, którzy starają się zbadać ten ciekawy objaw.

Dr. Turano widzi przyczynę tej zagadki duchowo-cielesnej w nadmiernej, wprost chorobliwej egzaltacji religijnej Heleny Ajello. Profesor Fabrizio mówi, że jest to histeryczka, z nadmiernie rozwiniętą manją „świętości".

Charakterystycznem jest, że Helena Ajello była niegdyś w klasztorze, lecz wydalono ją stamtąd właśnie z powodu tej choroby. Helena Ajello uważa się wciąż za mniszkę, pomimo, że ślubów nigdy nie składała. Z natury jest słabowita, szczególnie źle czuje się w piątek każdego tygodnia, a w Wielki Piątek Wielkanocny, powtarza się z nią od czterech lat ta sama historja.

Dziewczyna czuje się potem bardzo osłabiona i długo nie może przyść do siebie.

Prowadzi spokojny tryb życia i mówi, że chciałaby połączyć się jak najprędzej ze swoją patronką, św. Ritą.

Helena Ajello cieszy się wielkim kultem ze strony ludu. W miasteczkach i wsiach okolicznych uważają ją za „świętą".

U źródła szczęścia.

Gdzie płynie źródło szczęścia? Pójdź ze mną, Czytelniku kochany, do domku prostego człowieka, w którym, otoczona gromadką wesołych dzieci, gospodyni domu się krząta, pełniąc swoje zadanie wobec rodziny.

Spojrzyj na tę kobietę, przystąp do niej przy ognisku, wejdź za nią do czyściutkiej izby, do komory, zbliż się za nią do kołyski, do szafy z bielizną, do warsztatu, do ogródka, podąż za nią do lśniącego od czystości bydełka, które ona pielęgnuje i które zna jej głos dobrze.

Przypatrz jej się w gronie rodzinnem, w drodze do kościoła, w jej nielicznem, ale serdecznem obcowaniu z sąsiadami! Czy wiesz teraz, gdzie płynie źródło szczęścia? — Nic tak na świecie serca nie przynęca, jak dłoń kobieca i twarzyczka dziecięca!

Jej dłoń wprawna najwygodniej ułoży mężowi posłanie w czasie choroby. W dniach zdrowia jest mu ona doradczynią serdeczną, jego pokrzepieniem w kółku swoich, słońcem, które dom rodzinny, choćby najuboższy i najskromniejszy, oblewa jasnym blaskiem, zamienia go w niebo, które poznajemy wtenczas dopiero w całej pełni, gdy to kochające serce bić przestało i oko nie rzuca już rozjaśniających wszystko promieni.

Co mężowi dosięgnie do kolan, to żonie dochodzi do serca — jak to mówią. U niej znajduje także po długich latach powracający z obczyzny syn i dorosła córka tę samą, dawną, niezmienioną ani odrobinę miłość. Troskliwość matki czuwa nad nimi i modli się za nich.

„Niebo jest u stóp matki“ — powiada perskie przysłowie, a my chrześcijanie wiemy, ile modlitwa matki jest zdolną uprosić w niebie dla dzieci. Żaden róg obfitości, sypiący skarby, nie jest bogatszym od dłoni matki, która błogosławi. Oby ona wszędzie szerzyła to błogosławieństwo!

Straszna zemsta.

W Persji, w kraju na wschód słońca położonym, którego mieszkańcy tak jak Turcy są wyznawcami proroka Mahometa, umarł przed wielu laty król. Prawem dziedzictwa wstąpił na tron syn jego Makel Adel. Chociaż panowanie słusznie nad tym należało mu się krajem, nie obeszło się jednak bez zaburzeń. Dwudziestu największych panów, nie chcąc go mieć królem, zbuntowało przeciw niemu prawie połowę mieszkańców tego królestwa i większą część wojska.

Po dwóch krwawych bitwach, Makel-Adel jako zwycięzca udał się do świątyni w mieście Teheran, a tam podziękowawszy naprzód Bogu i Mahometowi w przytomności dostojników państwa, kapłanów i mnóstwa ludu poprzysiągł zemstę wrogom swoim w tych słowach: „Niech spadnie na mnie kara aż do czwartego pokolenia, jeśli nie zniszczę nieprzyjaciół moich!“

Wszyscy z trwogą słuchali tej przysięgi, tem bardziej przerażeni, że Makel-Adel nie był zdolnym do takiej surowości, będąc z natury łagodnym i dobrym. Wkrótce pochwycono zbuntowanych przywódców. Okuci żelazem wrzuceni zostali w ciemny loch. Z całego Teheranu zwołano katów — na placach publicznych stawiano rusztowania, przygotowywano stosy do palenia, ostrzono pale, rozpalano kotły z wrzącą oliwą, sprowadzono mnóstwo zgłodniałych lwów i tygrysów.

Cała Persja drżała, widząc tak straszne przygotowania. Starano się przebłagać króla, wysyłano do niego deputacje, złożone z ludzi zasłużonych ojczyźnie, nic nie pomogło, — król był nieugięty.

Nareszcie w oznaczonym dniu wyprowadzono winowajców na plac stracenia. Makel-Adel przybył także. Zgorszyło to Persów. „Niech“, mówili, „król słusznie zagniewany ukarze wrogów swych, to mu wolno, ale niech nie obraża uczucia ludzkości, pastwiąc się widokiem męczarni poddanych swoich“.

Uwagi te robiono naturalnie po cichu. Byłoby niebezpiecznie, żeby doszły uszu królewskich. Makel-Adel był z tych królów, których nie można głośno ganić.

Na znak dany przyprowadzono do stóp królewskich największego winowajcę Osmana. Król rozkazuje czytać wyrok. Drżącym od wzruszenia głosem sekretarz królewski odczytuje wyrok śmierci, lecz o dziwo! Król zamiast go skazać na śmierć, robi go wielkim wezyrem tj. wysokim urzędnikiem w państwie. Wiele osób przytomnych, a mianowicie kobiet, zemdlało na taki nagły obrót rzeczy. Po Osmanie kolejno wszyscy w podobny sposób ułaskawieni, przechodzili z największej trwogi do najwyższej radości.

Mulej-Abbasowi, jednemu z najwyższych urzędników państwa, który wierny pozostał królowi, a który sam spodziewał się za panowania tego młodego monarchy zostać wielkim wezyrem, nie podobał się ten wyrok. Ufny w powagę wieku swego (był to już stary człowiek) i urzędu, zbliża się do króla i przedstawia pokornie: „Miałeś najmiłościwszy królu według słów przysięgi zniszczyć swych wrogów, a tyś ich dostojeństwami obdarzył, czy nie naruszyłeś przysięgi!“

Wspaniałomyślny Makel-Adel na to mu odpowiada: „Alboż nie dotrzymałem przysięgi? Przez łaski i dobrodziejstwa, któremi obdarowałem nieprzyjaciół moich, zniszczyłem w nich wrogów, przysposobiłem sobie przez to najlepszych przyjaciół dla siebie“.

Lud zgromadzony okrzykami radości wielbił dobroć króla, a przestępcy do łez wzruszeni, przysięgli do ostatniej kropli krwi bronić tak miłosiernego i dobrego monarchę.

Najszlachetniejsza to zemsta czynić dobrze wrogowi. Makel-Adel był mahometaninem, który nie wyznaje nauki Chrystusa Pana, a tak się szlachetnie zemścił.

Ludzie jedzący ziemię.

Mieszkańcy niektórych okolic Sudanu (w Afryce) mają ciekawy zwyczaj zjadania gliny, pokrywającej brzegi rzek, uważając to niezwykłe pożywienie za środek leczniczy przeciwko anemji i innym chorobom. Ziemia naniesiona przez wylew Nilu, nazywa się w języku krajowców „tinibliz“, czyli pożyteczna dla ciała ludzkiego.

Kobiety bezkrwiste jedzą wiele tej gliny, a w dniu, w którym przypływ Nilu jest największy, handlarze sprzedają „tinibliz“ wraz z cytrynami.

Zwyczaj jedzenia ziemi nabywają już dzieciaki, które niepilnowane przez matki czołgają się po ziemi, zaspakając głód i wrodzona dzieciom ciekawość, łykają co im wpadnie w rączki, nie wyłączając kamieni.

Zjadacze ziemi lubią sól, a że ziemia ma łagodny posmak soli, może to jest przyczyną ich zamiłowania.

Nie chodzi tu jednak tylko o smakoszów. Praktyka lekarska Sudańczyków nakazuje jeść ziemię zbieraną w izbie kowala, a więc opiłków żelaznych, zmieszaną z pieprzem i musztardą, za specjalne zaś skuteczne lekarstwo uważają ziemię z grobu szejka.

Krajowcy dają proste wytłómaczenie skuteczności jedzenia ziemi: nasz protoplasta Adam, mówią powstał z ziemi, jeżeli jemy materję, która służyła do stworzenia pierwszego człowieka, tem samem wzmacnia ona nasze siły.

Zjadacze ziemi są również na wyspie Laos, gdzie zwyczaje mają jednak nieco odmienne. Tam kobiety zbierają cały dzień na brzegach rzeki glinę woniejącą mocno rybami. Glinę tę suszy się na słońcu, następnie proszkuje, moczy i ulepia w kule, które się przykrywa gałązkami z drzewa i piecze na ogniu. Wychodzą z tego małe kulki wielkości orzecha, koloru jasno-czekoladowego, sprzedawane na targu jako wielki przysmak.

Jest jeszcze inny sposób przyrządzania gliny w specjalnym kotle, z którego wychodzi ona mocno przydymiona. Ci, którzy nie są dość zamożni, aby glinę kupić tak przyprawioną, zbierają ją poprostu nad brzegami rzeki i zjadają na surowo.

Cechą charakterystyczną jest, że jedzenie ziemi staje się takim samym nałogiem, jak picie alkoholu, palenie opium itd. Nałogu takiego nie pozbywają się nawet ludzie umierający, mimo iż następstwa jego są równie groźne, jak skutek używania opium czy kokainy.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.
Odbito w drukarni „Czasu“ w Krakowie ul. św. Tomasza 32.